

ALCHEMIK



Wysoko, na porośniętym trawą wierzchołku wzgórze, którego zbocza i podstawę porastają leśne ostępy z pokrzywionymi, posepnymi drzewami, stoi stare zamczysko moich przodków. Od stuleci jego blanki i krenele spoglądały ponuro na dziką i surową okolicę wokoło, pełniąc funkcje siedziby i warowni dumnego rodu, którego szlachetna linia starsza jest nawet niż porośnięte mchem zamkowe mury. Owe stare, nadgryzione zębem czasu wieżycy składały się ongi, jeszcze w czasach feudalizmu, na jedną z najbardziej przerażających i strasznych fortec w całej Francji. Z jego machikułowych gzymsów i podwyższonych blanków odpierano ataki baronów, hrabiów, a nawet królów, na tyle skutecznie, że jego przestronne komnaty nigdy nie rozbrzmiewały echem kroków najeźdźców. Jednak w miarę upływu czasu wszystko się zmieniło. Lata chwały należały już do przeszłości. Ubóstwo graniczące z nędzą w połączeniu z dumą naszego imienia nie pozwalającą na złagodzenie tego stanu poprzez prowadzenie kupieckiego trybu życia stało się przyczyną, iż moi przodkowie nie zdołali utrzymać posiadłości w stanie dawnej chluby i chwały, zaś odpadające od gzymsów kawałki kamieni, chwasty pieniące się w parkach, wyschła fosa, źle wybrukowane dziedzińce i chylące się ku upadkowi zewnętrzne wieże, podobnie jak zapadające się posadzki, zżarta przez korniki boazeria i wyblakłe gobeliny - wszystko to zdawało się opowiadać posepną historię o czasach minionej świetności. W miarę upływu wieków najpierw jedna, potem zaś druga z czterech wież została opuszczona i pozostawiona, by obrócić się w ruinę. Ma koniec nieliczni już potomkowie potężnych ongi władców majątku zagnieździłi się w ostatniej wieży.

To właśnie w jednej z ogromnych komnat owej wieży przyszedłem na świat ja: Antoine, ostatni z nieszczęsnych, przeklętych hrabiów de C..., 90 długich lat temu. W tych murach i pośród mrocznych, cienistych ostępów leśnych, dzikich wąwozów i grot na zboczu wzgórze poniżej, spędziłem pierwsze lata mego burzliwego życia.

nie znałem moich rodziców. Ojciec zginął w wieku lat 52 zabity przez kamień, który jakimś sposobem odpadł od gzymsu jednej z opuszczonych wież, na miesiąc przed moim przyjściem na świat. Matka umarła w połogu, a opiekę nade mną i moją edukacją, przejął ostatni z zamkowych sług, stary, wierny człek o wybitnej inteligencji, którego imię brzmiało, jak pamiętam, Pierre. Byłem jedynakiem i doskwierał mi brak towarzystwa, który był wynikiem osobliwego stylu wychowania, narzuconego mi przez podstarzałego opiekuna, nie pozwalającego na spotkanie się z dziećmi wieśniaków, bawiącymi się zwykle na równinach u podnóża wzgórze. Pierre powiedział, że zakaz ten obowiązywał mnie dlatego, iż jako szlachetnie urodzonemu nie uchodziło mi przebywać w towarzystwie ludzi z plebsu. Teraz wiem jednak, że chciał w ten sposób nie dopuścić, bym usłyszał pogłoski o przerażającej kłatwie, jaka ciążyła na naszym rodzie; o której plotki krążyły dość szeroko, rozgłaszane i ubarwiane przez wieśniaków opowiadających je sobie nawzajem, z podnieceniem i ze zgrozą, wieczorami, przy rozgrzanych przyjemnie kominkach ich chat.

Tak odizolowany i pozostawiony samemu sobie spędziłem długie godziny mego dzieciństwa na studiowaniu starych ksiąg, których bez liku było w nawiedzanej przez cienie bibliotece zamczyska, lub też krążyłem bez celu po widmowym lesie, którego rozległa połączyła sięgała nieomal podnóża potężnego pagórka.

Być może wskutek takiego, a nie innego otoczenia, mój umysł bardzo wcześnie ogarnęła mgiełka melancholii. Moja uwaga zaś skupiła się na nauce i zgłębianiu mrocznych, okultystycznych sztuk.

O moim rodzie powiedziano mi możliwie jak najmniej, nie mniej nawet tak skąpy zapas informacji zdołał wprawić mnie w tęgie przynębnienie. Być może to wahanie z jakim mój stary opiekun rozmawiał ze mną o moich

przodkach spowodowało pojawienie się w moim sercu dojmującej zgrozy, która narastała z każdą wzmianką o moim wielkim domu. Kiedy przestałem być dzieckiem zdołałem zrozumieć oderwane fragmenty rozmów, przejęzyczenia i zapomnienia, które staruszkowi w miarę upływu lat zdarzały się coraz częściej, i połączyłem je z pewną okolicznością, która zawsze wydawała mi się dziwna, teraz zaś uważałem ją za jawnie przerażającą. Okoliczność o której wspomniałem to młody wiek w jakim hrabiowie z mego rodu rozstawali się z tym światem. Z początku uważałem to za rzecz zwyczajną, sądząc, iż być może należeliśmy do rodu ludzi żyjących krótko "z natury", w końcu jednak zacząłem zgłębiać szczegóły poszczególnych przedwczesnych zgonów i łączyłem je z dygresjami staruszka, który często mówił o kłątwie jaka przez stulecia nie pozwoliła kolejnym dziedzicom mego tytułu na przeżycie więcej niż trzydziestu dwóch lat.

Na dwudzieste pierwsze urodziny otrzymałem od Pierre'a rodzinny dokument, który, jak mi powiedział, przechodził od wielu pokoleń z ojca na syna i trafiał w ręce kolejnych spadkobierców tytułu. Jego treść była doprawdy wielce osobliwa, i gdy przeczytałem go z uwagą, potwierdziły się moje najmroczniejsze przypuszczenia. Moja wiara w rzeczy nadnaturalne była wówczas bardzo silnie zakorzeniona, w przeciwnym bowiem razie nawet nie zadawałbym sobie trudu, by rzucić okiem na ów pożółkły ze starości dokument. Przeniósł mnie on do mrocznych lat trzynastego wieku, kiedy stare zamczysko, w którym się znajdowałem, było przerażającą, straszną, niezdołaną fortecą.

Na kartach dokumentu zawarta była historia o pewnym starcu, który mieszkał ongi w naszym majątku, człeku wielce utalentowanym, choć był on jedynie prostym wieśniakiem, o imieniu Michel, do którego dodawano zwykle przydomek Mauvais - co znaczy Zły. Cieszył się on. skądinąd zasłużoną, paskudną reputacją. Studiował nauki nieznanego jego ziomkom, poszukując rzeczy takich jak Kamień Filozoficzny, czy Elixir Wiecznego Życia i, jak głosiła fama, posiadał ogromną wiedzę z zakresu Czarnej Magii i Alchemii.

Michael Mauvais miał jedyne dziecko, imieniem Charles; młodzieńca "biegłego" podobnie jak on w tajemniczych sztukach, zwanego Le Sorcier - czyli Czarownik. Para ta, unikana przez wieśniaków - podejrzewana była o najbardziej odrażające praktyki. Mówiono, że Michel spalił żywcem swoją żonę, by złożyć ją w ofierze Diabłu; tym dwóm przerażającym indywidualnościom przypisywano również niezliczone i niewyjaśnione zaginięcia dzieci tutejszych wieśniaków. Pomimo mrocznej natury przejawianej tak przez ojca jak i przez syna, ich ciemne dusze rozjaśniał jeden jedyne promyk człowieczeństwa: zły starzec z całego serca kochał swojego syna, podczas gdy młodzieniec darzył swojego ojca bardziej niż synowski afektem.

Którejś nocy na zamku powstało nieopisane zamieszanie, spowodowane zniknięciem młodego Godfrey'a, syna hrabiego Henri. Grupa poszukiwawcza z odchodzącym od zmysłów ojcem na czele, przybyła do chaty czarowników i natknęła się tam na Michela Mauvais gotującego coś w ogromnym, buchającym parą kotle. Bez konkretnej przyczyny, w nagłym przypływie wściekłości i rozpacz, hrabia rzucił się na starca czarownika i zaczął go dusić. Nie rozluźnił uścisku, dopóki ze starca nie uszły resztki życia. Tymczasem, rozradowani służący oznajmili o odnalezieniu panicy Godfrey'a w odległej i nie wykorzystywanej komnacie wielkiego zamczyska, stwierdzając tym samym, choć po niewczasie, że Michel Mauvais umarł na próżno. Kiedy hrabia i jego towarzysze odwrócili się od stygającego z wolna ciała starca, spomiędzy drzew wyłoniła się posępna sylwetka Charlesa le Sorcier. Zdenerwowani służący wyjaśnili mu co się stało, jednak mężczyzna przez chwilę wydawał się nie poruszony śmiercią ojca. Nagle, podchodząc wolno do hrabiego, dobitnie wypowiedział przerażające słowa kłątwy, która od tej pory spędzła sen z powiek kolejnym dziedzicom rodu de C...:

"niechaj nigdy szlachcic z twego rodu nie przeżyje więcej lat niż ty!"

Po czym odskoczywszy w tył, w cień drzew, wyrwał spomiędzy fałd swej tuniki fioletową bezbarwną parę i cisnąwszy ją w twarz mordercy swego ojca rozplątał się w mroku nocy. Hrabia skonał na miejscu i pogrzebano go następnego dnia, w kilka godzin po jego trzydziestych drugich urodzinach, nie odnaleziono śladu zabójcy, pomimo iż grupki uzbrojonych wieśniaków przeczeszały okoliczne lasy i pastwiska wokół wzgórz.

Czas i brak kogoś kto mógłby przypominać o niej, zatarł wspomnienia kłątwy w umysłach rodziny zmarłego hrabiego, toteż kiedy Godfrey, mimowolny sprawca całej tragedii zginął, przeszyty strzałą, na polowaniu, w wieku lat 32, jedyną reakcją był smutek i żal wywołany jego przedwczesnym odejściem. Kiedy jednak, wiele lat później następny hrabia, imieniem Robert został znaleziony bez życia na pobliskim polu, i nie wykryto konkretnej przyczyny jego zgonu, wieśniacy poczęli szeptać, że ich senior, na krótko przed spotkaniem ze śmiercią skończył 32 lata. Louis, syn Roberta w tym samym wieku co ojciec utopił się w zamkowej fosie, i od tej pory, upiorna kronika przerażających wypadków ciągnie się przez całe stulecia - Henri, Robertowie, Antoineowie i Armandowie - wszyscy oni zostali skoszeni przez bezlitosną kostuchę, gdy liczyli sobie prawie dokładnie tyle samo lat co ich przodek, kiedy zamordował starca Michela Mauvais.

To co przeczytałem upewniło mnie, że zostało mi jeszcze najwyżej jedenaście lat. Życie które dotąd sobie lekceważyłem, stało się mi cenniejsze z każdym mijającym dniem, gdy zagłębiałem się coraz dalej i dalej w świat tajemnych sztuk czarnej magii. Ponieważ żyłem w odosobnieniu, nowoczesna nauka nie miała na mnie najmniejszego wpływu i pracowałem z równym zacięciem jak stary Michel i Charles, usiłując zgłębić sekrety demonologicznych i alchemicznych nauk. Mimo to w żaden sposób nie potrafiłem wytłumaczyć dziwnej kłątwy spoczywającej na moim rodzie. W chwilach niezwykłej wręcz racjonalności, byłem nawet gotów szukać naturalnego wyjaśnienia. Jednak - kiedy poszukiwania naukowe spełzyły na niczym - powróciłem do okultystycznych studiów i próby znalezienia zaklęcia, które uwolniłoby mój ród od przerażającego brzemienia. Jednego byłem absolutnie pewny. Nigdy nie powinienem się ożenić, bo jeśli nie powstanie następna gałąź naszej rodziny, być może kłątwa zakończy się na mojej osobie.

Gdy dobiegałem trzydziestki, stary Pierre został wezwany w ostatnią podróż do najodleglejszej z krain. Pogrzebałem go własnoręcznie pod kamieniami na dziedzińcu, po którym tak lubił przechadzać się za życia. Zostałem więc sam w posępnych murach fortecy, a dławiące uczucie samotności sprawiło, iż umysł przestał buntować się przed nieuchronną zgubą i praktycznie rzecz biorąc pogodziłem się z tym, że podzielę los moich przodków. Wiele czasu zajmowało mi obecnie zwiedzanie ruin, opuszczonych sal i wież starego zamczyska, do których w młodości nie pozwalał mi zaglądać strach, i w których - jak mawiał stary Pierre - od czterech stuleci nie pozostała ludzka stopa. Napotkałem tam wiele osobliwych i przerażających rzeczy. Moje oczy spoglądały na meble pokryte naniesionym przez stulecia kurzem i przeżarte do cna przez wilgoć i grzyby. Wszędzie rozciągały się grube, lepkie, odrażające pajęczyny, a w nieprzeniknionych ciemnościach rozlegał się łopot ogromnych, skórzastych, nietoperzych skrzydeł.

Prowadziłem dokładny dziennik, zapisując w nim dokładnie dni, a nawet godziny, gdyż każdy ruch wahadła starego zegara stojącego w bibliotece zdawał się przypominać mi o nieuchronności mego losu. W końcu nadszedł czas, którego tak się obawiałem. Ponieważ moi przodkowie pożegnali się z życiem na krótko przed ukończeniem 32 roku życia, osiągnąwszy ów złowieszczy wiek zacząłem spodziewać się, że śmierć może zaskoczyć mnie praktycznie w każdej chwili, nic wiedziałem w jakiej dziwnej objawi mi się postaci, wiedziałem wszak, iż nie będę jej potulną pasywną ofiarą. Z żywszym wigorem wznowiłem zwiedzanie starego zamku i przepatrywanie znajdujących się w nim osobliwości.

Stało się to podczas najdłuższej z moich wędrówek w opuszczonej części zamku na mniej niż tydzień przed fatalną godziną, która, jak się obawiałem, będzie ostateczną granicą mego ziemskiego żywota, i której przeżycia nie łudziłem się w najśmielszych marzeniach. Przez większą część ranka kręciłem się w górę i w dół po na wpół zniszczonych schodach w jednej z najbardziej zapuszczonych, pradawnych wież. Po południu postanowiłem odwiedzić niższe poziomy schodząc w głąb czegoś, co wyglądało na średniowieczne lochy lub, być może, prochownię. Kiedy wędrowałem wolno wzdłuż pokrytego warstewką saletry przejścia u podnóża ostatnich schodów stwierdziłem, że podłoże jest wyjątkowo wilgotne i niebawem w migotliwym świetle pochodni spostrzegłem, iż dalszą drogę zagradza mi gruba, ślepa, pokryta wodnymi zaciekami ściana. Odwróciłem się, by zawrócić, gdy wtem mój wzrok padł na niewielką uchylną klapę z żelaznym kółkiem pośrodku, znajdującą się dokładnie pod moimi stopami. Odstąpiłem o krok i pochyliwszy się, uniosłem ją z trudnością odsłaniając mroczną czeluść, z której buchnął podmuch cuchnącego powietrza o mało nie gasząc mojej pochodni; w jej złotawym blasku dostrzegłem szczyt wąskich kamiennych schodów. Kiedy, pochyliwszy dłoń z pochodnią w głąb otworu, stwierdziłem, iż łuczywo pali się swobodnie i nie zamierza zgasnąć, podjąłem decyzję. Stopni było sporo i prowadziły one do wąskiego kamiennego korytarza, który, o czym byłem przekonany, musiał znajdować się głęboko pod powierzchnią ziemi. Był on, jak się okazało, bardzo długi i kończył się masywnymi dębowymi drzwiami, ociekającymi wilgocią i uparcie opierającymi się podejmowanym przeze mnie próbom ich otwarcia. Gdy po pewnym czasie zaprzestałem próżnych wysiłków, i zawróciłem ku schodom, przeżyłem najbardziej zdumiewający, mrozący krew w żyłach szok, jaki jest w stanie ogarnąć ludzki umysł.

Nagle, bez ostrzeżenia, usłyszałem jak ciężkie drzwi za moimi plecami otwierają się powoli, przy wtórce skrzypienia zardzewiałych zawiasów. Moich pierwszymym wrażeń po prostu nie sposób opisać. Spotkanie, w miejscu takim jak ten opuszczony stary zamek z ewidentnym dowodem obecności człowieka, czy ducha wywołało w moim mózgu uczucie dojmującej, przenikającej do szpiku kości zgrozy. Kiedy się w końcu odwróciłem i spojrzałem w kierunku źródła dźwięku, skamieniałem z przerażenia. W prastarych gotyckich drzwiach stał jakiś człowiek. Był to mężczyzna noszący długą ciemną, średniowieczną tunikę i mykę. Jego długie włosy i gęsta broda miały przeraźliwy, ciemny odcień. Czoło wydawało się nienaturalnie wysunięte do przodu, policzki zapadnięte i pokryte niewiarygodnie głębokimi zmarszczkami, a jego długie, powykrzywiane i przypominające szpony ręce, były niemal marmurowo białe; tak białych rąk nie widziałem jeszcze u żadnego człowieka. Jego sylwetka, chuda jak u kościotrupa była dziwnie przygarbiona i nieomal ginęła wśród fałd luźnej, osobliwej szaty. Najbardziej zdumiewające były jednak jego oczy - bliźniacze jaskinie bezdennej czerni, przepełnione zrozumieniem i wiedzą, nasycone jednak robaczywym, niemal namacalnym złem. Wpatrywały się teraz we mnie, przesywając mą duszę jadem nienawiści i sprawiły, że stałem w bezruchu, jak wrośnięty w ziemię. Wreszcie postać przemówiła tubalnym głosem, który zmroził mnie do szpiku kości swą pustką i nieskrywaną wrogością. Język, jakim posługiwał się ów mężczyzna był pewną formą łaciny używanej przez średniowiecznych uczonych i którą znałem dzięki zgłębieniu rozlicznych dzieł starych alchemików i demonologów. Widmo powiedziało mi o kłątwie, która wisiła nad moim rodem, o moim zbliżającym się końcu, o morderstwie Michela Mauvais popełnionym przez mego przodka i o upojnej zemście Charlesa Le Sorcier. nieznajomy opowiedział mi również o tym, jak młody Charles zniknąwszy w mroku nocy, powrócił, wiele lat później, by zabić hrabiego Godfrey'a, na polowaniu, kiedy dziedzic osiągnął określony wiek, zbliżony do wieku w jakim ojciec jego dokonał okrutnego zabójstwa; oraz o tym jak potajemnie powrócił do zamczyska, gdzie, nie zauważony przez nikogo, zamieszkał w podziemnej komnacie, w drzwiach której stał obecnie upiorny narrator, o tym jak dopadł Roberta, syna Godfrey'a, na polu i napoiwszy go - przemocą - trucizną, pozostawił trzydziestodwuletniego mężczyznę na śmierć w długich męczarniach, wypełniając tym samym złowrogię słowa swej kławy.

W tym momencie pozostawiona została w sferze domysłów kwestia rozwiązania najważniejszej tajemnicy: w jaki sposób mianowicie kłątwa mogła trwać przez stulecia, skoro niewątpliwie musiał nadejść taki dzień, iż Charles Le Sorcier rozstał się z życiem: mężczyzna bowiem zmienił temat i zajął się opowieścią o alchemicznych badaniach dwóch czarowników - ojca i syna, mówiąc przede wszystkim o badaniach Charlesa Le Sorcier dotyczących eliksiru, który dałby pijącej go osobie wieczne życie i młodość. Jego entuzjazm na krótką chwilę przygasił płonący w jego oczach płomień nienawiści, która w pierwszej chwili tak mnie przerażała, ale nieoczekiwanie wrogość powróciła i, z głośnym wężowym syknięciem, obcy uniósł trzymaną w dłoni szklaną fiołkę, zamierzając, jak się domyśliłem

zakończyć mój ziemski żywot w taki sam sposób, jak Charles Le Sorcier przed sześćset laty uśmiercił mego przodka.

Kierowany dziwnym instynktem przetrwania zerwałem wiążące mnie, niewidzialne okowy lęku i cisnąłem dogasającą już pochodnię w upiorną postać stanowiącą dla mnie śmiertelne zagrożenie. Usłyszałem trzask pękającej i niegroźnej już Fiolki, rozstrzaskującej się o kamienną posadzkę, gdy tunika dziwnego mężczyzny zapaliła się oświetlając całe pomieszczenie upiornym, krwistopomarańczowym blaskiem. Wrzask przerażenia i bezsilnej wściekłości wydany przez niedosłego zabójcę był zbyt wielkim ciężarem dla moich starganych nerwów i zemdlony runąłem na śliską, wilgotną posadzkę.

Kiedy doszedłem do siebie wszystko tonęło w przerażającej ciemności, a mój umysł na krótką chwilę sparaliżowała zgroza, że mógłbym ujrzeć coś więcej, nie mniej jednak ciekawość okazała się silniejsza.

Kim - zapytywałem sam siebie - był ów zły człowiek i w jaki sposób znalazł się w murach tego zamczyska? Dlaczego szukał zemsty za śmierć Michela Mauvais i w jaki sposób klątwa przetrwała stulecia po śmierci Charlesa le Sorcier?

Strach opuścił mnie, bowiem wiedziałem, że ten którego pokonałem był głównym źródłem mego zagrożenia i to on miał zadać mi śmierć, by klątwa mogła się spełnić. Teraz byłem wolny i przepełniało mnie pragnienie dowiedzenia się czegoś więcej o złowieszczej istocie, która przez stulecia nawiedzała mój ród i zmieniała mą młodość w pasmo nie kończące się koszmaru.

Ogarnięty żądzą zacząłem grzebać w kieszeniach w poszukiwaniu krzesiwa i stali, po czym zapaliłem drugą, nie używaną pochodnię, jaką miałem przy sobie. Blask łuczywa oświetlił przede wszystkim leżącą na ziemi, skręconą i poczerniałą postać tajemniczego mężczyzny. Upiorne oczy były teraz zamknięte. Ponieważ był to odrażający widok odwróciłem się i wszedłem do komnaty za gotyckimi drzwiami. Znalazłem za nimi coś, co przypominało laboratorium alchemika. W jednym rogu znajdowała się sterta lśniącego, żółtego metalu, który lśnił i migotał w blasku mojej pochodni. Mogło to być złoto, ale nie przystanąłem by to sprawdzić, bowiem ostatnie przeżycia wpłynęły na mnie w nader osobliwy sposób. W drugim końcu komnaty znajdował się otwór prowadzący do jednego z dzikich wąwozów w mrocznych ostępach lasu porastającego zbocze wzgórza. Dopiero teraz, przepełniony zdumieniem, uświadomiłem sobie w jaki sposób człowiek ów dostał się do zamku.

Wyszedłem z pomieszczenia. Zamierzałem minąć szczątki nieznanego, nawet na niego nie spoglądając, ale gdy się doń zbliżyłem wydało mi się, że usłyszałem słaby dźwięk, jak gdyby w poczerniałym ciele tliła się jeszcze isierka pługawego życia. Z odrazą pochyliłem się, by przyjrzeć się zdeformowanemu, nadpalonemu ciału spoczywającemu na ziemi, nagle te przerażające oczy, czarniejsze nawet niż osmalona twarz, w której były osadzone, otworzyły się szeroko w wyrazie, którego nie potrafię określić. Spękane wargi szeptały niezrozumiałe dla mnie słowa. Raz wychwyciłem nazwisko Charlesa Le Sorcier, w pewnej chwili wydawało mi się, że słyszę niewyraźne: "lata" i "klątwa". Było to jednak zbyt mało, by zrozumieć sens tej bezładnej wypowiedzi. Widząc, że nie pojmuję znaczenia jego słów, mężczyzna drgnął, a w jego oczach raz jeszcze rozbłysł płomień wrogości. Wzdrygnąłem się mimowolnie, i naraz ów ludzki wrak, resztką sił unióśł upiorną, osmaloną głowę z wilgotnej, zapadniętej, śliskiej posadzki. Sparaliżował mnie strach, a ten nieszczęśnik, leżący przede mną strzęp człowieka, wykrzyczał poprzez spękane usta słowa, które od tej pory będą nękać mnie dniami i nocami:

"Głupcze!" - zakrzyknął - "Nie domyślasz się mojej tajemnicy? Czy brak ci mózgu, że nie potrafisz rozpoznać czyja wola przez sześć stuleci czuwała, by spełniona była potworna klątwa ciężąca na twym rodzie? Czyż nie mówiłem ci o wielkim eliksirze wiecznego życia? Nie wiesz, że sekret Alchemii został rozwiązany? To Ja! Ja! Ja! Przeżyłem całe sześćset lat, by dopełnić mej zemsty. Jam jest bowiem Charles Le Sorcier!"

Autor: Howard Philips Lovecraft

[Początek]